

Drzwi były duże, blaszane, obłożone z zielonkawej farby. Przy odrobinie wprawy dawały się otworzyć łyżeczką do herbaty, więc każda z nas nosiła taką łyżeczkę przy sobie. Łyżeczki były wszędzie- w kieszeniach, za paskami, w stanikach, pochowane w skarpetkach. Za blaszanymi drzwiami było dobrze i bezpiecznie, lecz wszystkie musiałyśmy od czasu do czasu wyjść na zewnątrz. Bo papierosy, bo podpaski, bo herbata, kawa, piwo i ciasteczka. Mogłyśmy oczywiście poprosić lekarza o zgodę, siostrę oddziałową o eskortę, ale oni nigdy nie mieli czasu, żeby zająć się naszą potrzebą szerokiego świata. Miałyśmy więc łyżeczki.

Wychodziłyśmy zwykle dwójkami i trójkami, pilnując się nawzajem, by nikt, kto żył poza małą enklawą nie rozpoznał w nas uciekinierek. Nosiłyśmy długie rękawy, dużo bransoletek i ciemne okulary, żeby nie było widać bólu jaki miałyśmy wypisany na rękach. A pani z pobliskiego sklepiku dobrodusznie kiwała głową, udając że nie wie, że przyszłyśmy zza blaszanych drzwi. A może naprawdę nie wiedziała?

Nie umiem powiedzieć. W każdym, żyjącym w świecie zewnętrznym, widziałam wtedy wroga dla swojej chwilowej wolności. Pewnie dostrzegałam w oczach innych rzeczy, których tam nie było. A może widząc swoje odbicie w źrenicach pani ekspedientki, dopisywałam do niego sieć znaczeń, która tworzyła się tylko w mojej głowie.

Nieważne. Prędzej czy później łapał nas lęk, że nasza ucieczka zostanie odkryta, lub że wielki świat na zewnątrz nas wchłonie i nie wypuści, więc szybko wracałyśmy za blaszane drzwi. Cichutko otwierając je łyżeczką.

Czasami siadałyśmy przy oknie, opowiadając sobie bajki o tym, jak będzie pięknie, gdy już nas nauczą żyć. Że będzie dom, studia, praca, rodzina i szczęśliwe lata, aż do późnej starości. Albo słuchałyśmy głośno muzyki i rozmawiałyśmy o sztuce i filozofii, i o tym, że tak naprawdę, to nie nas zabrali ze świata, tylko świat zabrali od nas, by nas już nigdy nie skaził. Bo wiedziałyśmy, że jesteśmy wyjątkowe i najlepsze, a wszystko, co jest za blaszanymi drzwiami jest farsą.

A potem przychodziły dni, kiedy nad naszym małym światem unosiły się ciężkie chmury. I wtedy często siedziałyśmy w kiblu, płacząc i paląc papierosa za papierosem. Z rozwartych rąk B. wypływały wtedy czerwone strumienie beznadziei, Ł. piła dużo wody, by spuchnąć, spuchnąć jak najbardziej przed trudnym rytuałem ważenia, a ja papierosem wypalałam sekretne znaki na swoich rękach i pisałam po ścianach grubym, czarnym markerem. Wiersze o upokorzeniu, żalu i nadziei, o smutku i radości. Swoje i cudze.

I wypalałam je na ścianach, na dłoniach i w sercu. I wszystkie płakałyśmy.

I trzy razy dziennie w nasz mały, bezpieczny świat wdzierał się głos z zewnątrz, krzycząc o lekach. I ten głos był pierwszym i najważniejszym z tych, które mierzyły nasz czas. W biegu rzucałyśmy się do dyżurki i brałyśmy kolorowe pigułki. Żółte, czerwone, niebieskie, różowe. Takie na łyzy, i na złe sny, i na to, żeby już nie bolało i żebyśmy były znowu wyjątkowe i najlepsze.

Chowałyśmy je w obiciach materacy, między brudną bielizną, pod deski podłogi. I brałyśmy wszystkie na raz, pełną tęczę, gdy sny były gorsze niż zwykle. Śniłyśmy wtedy twardo, sny bez snów, pełne ciszy i błogosławionej pustki.

Gdy po raz pierwszy przeszłam przez blaszane drzwi, świat za nimi wydawał mi się mroczny. Skłębiałam się wtedy w kłębek obaw, przycisnęłam plecy do ściany, by nikt mnie nie skrzywdził i patrzyłam z lękiem przez zaciśnięte oczy.

A potem przyszedł nowy dzień i światło wpadające przez kraty w oknach okazało się być przepiękne, urodą raj utraconego. Świat został daleko, oddzielony powyginaną blachą i odpadającą, zieloną farbą i wiedziałam, że wreszcie jestem bezpieczna. Tej blachy nie mógł sforsować nikt niepowołany, chyba że przyniósł ze sobą łyżeczkę. A kto przy zdrowych zmysłach będzie nosił w kieszeni łyżeczkę?

Tak więc, za blaszanymi drzwiami było dobrze.

Pewnym dysonansem we wszechogarniającym spokoju byli lekarze, biegający korytarzem z obłędem w oczach. Całe dni spędzali w drodze między jednym końcem korytarza, a drugim, zwracając na nas uwagę niezwykle rzadko. Odpowiadało nam to, bo wszyscy, jak jeden mąż, byli szaleni niczym kapelusznicy. Czasami jednak zatrzymywali się i brali nas na Rozmowy. A my wtedy grałyśmy w różne gry.

Ja najczęściej grywałam w "krasnołudki", czasami w "samą prawdę".

Mówiłam na przykład:

-Panie doktorze, po pańskiej głowie chodzi krasnołudek i robi brzydkie miny.

A doktor odpowiadał:

-Jak się kształtowały twoje relacje z ojcem we wczesnym dzieciństwie?

Ja wtedy mówiłam:

-Po nim też skakały zielone krasnołudki.

A wtedy słyszałam:

-Czy możesz to przełożyć na emocje?

Kilka razy w tygodniu graliśmy też w gry zespołowe. Siadaliśmy wtedy w kręgu i każda z nas miała opowiedzieć o swoim dniu, chociaż wszystkie spędzałyśmy czas tak samo. Mówiłyśmy więc tak, jakbyśmy puszczały ta samą płytę, nie wysilając się nawet na różne zdania. A potem pytali o samopoczucie. Trzeba było mieć dobre, bo inaczej dłużej trwała męka pytań.

Czasami jednak grałyśmy z nudów w "nie chcę o tym rozmawiać". Grało się jak w "pomidora", obserwując zmieniającą się barwę twarzy terapeuty. Wygrywała ta, której pierwszej udało się osiągnąć soczystą czerwień.

Któregoś dnia, łudząc się fałszywą nadzieją, przyniosłam na Rozmowę kronikę swojego życia. Opisywałam tam wzloty i upadki, a każda mała śmierć podkreślona była czerwonym flamastrem. Lekarz przyjrzał się jej bez przekonania, przerzucił dwie kartki i oznajmił, że pisanie sprawia mi radość. Radość była dla mnie zawsze słowem nieco tajemniczym, więc sprostowałam zgodnie z prawdą, że lepszym określeniem wydaje mi się ulga. Uniósł wtedy brwi i powiedział, tonem autorytatywnym, że czytając o moim bólu, znajduje w nim radość.

Próbowałam potem czuć radość, gdy pisałam o swoim żalu, jednak wciąż, zamiast radości, przychodziła ulga. Przestałam potem pisać na długo, głęboko wierząc, że źle to robię, jako że produktem łez powinna być radość.

Lekarze burzyli naszą bajkową rzeczywistość.

Czasami, gdy sen był zły, budziłam się, patrząc na ścianę dzielącą moje łóżko od korytarza. Powyżej drzwi cegła przechodziła w brudne luksfery, przez które wpadało mdłe światło przygaszonych jarzeńówek. Liczyłam je wtedy, a one na moich oczach zmieniały kształty, przeistaczając się w kraty, potwory i złe marzenia. Uciekałam wtedy z pokoju, ukradkiem, by wartujące w dyżurce pielęgniarki nie spostrzegły mojej niesubordynacji i w ciemnościach łazienki paliłam papierosa za papierosem, bezgłośnie śpiewając smutne piosenki.

Zawsze mnie jednak znajdowały, prędzej czy później i wtedy wlewały mi do gardła gorzki syrop, po którym miałam spać. Lecz zamiast spać, ciągle liczyłam monstrualne pająki wychodzące spomiędzy krat luksferów i tęskniłam za światem, w którym by nie było tyle żalu. Czułam się naczyniem na żal, zbierającym cały brud wszechświata i choć starałam się godnie znosić swój niechciany obowiązek, ten żal się ze mnie wylewał, przelewał przez oczy, nos, uszy i zachrypnięte gardło.

I po takiej nocy, gdy przychodził poranek, stawałam na nocnej szafce, beznamiętnie omiatana przez ścierkę sprzątaczkę i mówiłam, krzyczałam o tym, jak jest źle, wyrażałam swój sprzeciw wobec świata, który nie chce być taki, jakim nas ukształtował. A wtedy przychodzili lekarze, dawali zastrzyk i zapinali w pasy, z których łatwo się było wydostać, jeśli się naprawdę tego chciało. Ale po zastrzyku nie chciało się nawet chcieć, więc leżałam, patrząc się w sufit i nie było już niczego.

W końcu jednak przyszedł dzień, w którym blaszane drzwi zamknęły się za moimi plecami. Raj stał się utracony naprawdę i na zawsze, a przynajmniej do następnego razu. Łyżeczkę zabrali, razem z ostatnimi tabletkami na szczęście, a ja stałam, patrząc w oczy słońcu, które całkiem inaczej świeciło po drugiej stronie.

I gdy zrobiłam krok w przepaść, którą kończyły się schody do wolności, zrozumiałam jedno.

Nikt za blaszanymi drzwiami nie umiał nauczyć mnie życia.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

elwenka, dodano 29.05.2009 21:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.